



Warszawa

Kwatera bożych pomyłków

■ Jak ze sceny mówić o wojnie, kiedy rzeczywista wojna toczy się za miedzą? Niepokoiła mnie ta myśl, gdy zastanawiałem się nad dzisiejszą formą rocznicowych obchodów wybuchu powstania warszawskiego; codzienne relacje z walk w Ukrainie drastycznie zmieniają kontekst ochoczo czczonej u nas wojennej martyrologii. Wiedząc, jak wulgaryzuje się staraniami polskich narodowców nie tylko debata publiczna wokół powstania, ale wręcz charakter uroczystości, mogłem spodziewać się, że mimo nawet najlepszych intencji – praca teatralna na ten temat może zabrzmieć niesmacznie.

Wyobrażam sobie, że organizatorzy wydarzeń z Muzeum Powstania Warszawskiego i twórcy tegorocznego spektaklu mieli z tyłu głowy podobne wątpliwości, wobec czego wybór *Kwaterny bożych pomyłków* do repertuaru obchodów zdaje się trafiony. Powieść Władysława Zambrzyckiego zdecydowanie na wyrost określana bywała „powstańczym *Dekameronem*”, ale to fakt, że bardziej niż o wojnie jako takiej mówi

o uporczywej potrzebie podtrzymania życia – kulturalnego, duchowego – pomimo grozy wojennej pożogi, której nie sposób pominąć, ale i której warto się nie poddać.

W scenicznej adaptacji reżyserki Katarzyny Kasicy w *Kwaterze...* ścierają się dwie narracje. Pierwsza – to bliski literackiemu pierwowzorowi realizm magiczny, wyrażający się także w muzycznych pejzażach Bastarda Trio. Czterej główni bohaterowie to inteligenci żywcem wyrwani z innej epoki, nijak niepasujący do brutalnej rzeczywistości, w której się znaleźli i świadomie uciekający we wspomnienia, filozoficzno-religijne debaty i zwykłe bajdurzenie. Afrykander, Quadratus, Tatar i gospodarz kwatery, będącej prywatną wypożyczalnią książek, pan Wincenty (odpowiednio – Lech Łotocki, Grzegorz Falkowski, Leszek Bzdyl i Zbigniew Waleryś) są przedstawicielami różnych wyznań i kulturowych formacji, mają za sobą odmienne życiowe doświadczenia, więc i ich rozmowy skaczą od tematu do tematu. Łączy ich za to wzajemny szacunek, uważność i umiejętność słuchania; różnice nigdy nie prowadzą do konfliktu.

Kasica jednoznacznie wskazuje jednak, że ten inteligencki krajobraz, malowany opowieściami, to świat, który odszedł w przeszłość. Odbierając widzom wgląd w jakiegokolwiek działania bohaterów poza kwaterą, podkreśla ich eskapizm – wszyscy czterej są zagubieni i nieużyteczni, zarówno wobec dziejącej się za oknami tragedii, jak i nawet wobec pozostałych osób odwiedzających wypożyczalnię: Hrabiny i Marty/Tamary (ta druga odmawia w pewnym momencie litanię o na wskroś współczesnych wykluczeniach), a tym bardziej dwójki młodych powstańców. Nieprzypadkowo w scenografii Katarzyny Jarnuszkiewicz, przenoszącej przestrzeń akcji z warszawskiej kamienicy do hali z blachy falistej, wyglądającej raczej jak skład makulatury niż antykwariat, zza stert książek wygląda wypchany lampart. Skojarzenie z dojmującą goryczą ekranizacji Viscontiego jest tu celne – choć mam poczucie, że użyte podobnie na wyrost, jak porównywanie *Kwaterny...* do *Dekameronu*.

Druga narracja, którą wybijają się ponad czułość dialogów magicznego realizmu czasem aż nazbyt wprost, to ostry sprzeciw wobec romantyzowania wojny. Ta płaszczyzna wydaje się być bliższa reżyserce i daje się rozpoznać już w kłamrze przedstawienia: początkowe projekcje bazują na trawestacji *Katechizmu polskiego dziecka* Bełzy. Kiedy po: „Kto ty jesteś?”, pytania dochodzą do: „A w co wierzysz?”, odpowiedzi wahają się od: „Jako protestant – w Boga”, przez: „Że wszyscy jesteśmy tacy sami”, po: „Nie umiem już wierzyć”. W finale zaś do wypowiedzi bohaterów spektaklu dołącza nagranie rzeczywistej bohaterki powstania, Wandy Traczyk-Stawskiej, która – jak coraz częściej w ostatnich latach – przestrzega przed bezmyślną nienawiścią. Zżymam się trochę na tak oczywiste komentarze, podobnie jak na gest samospalenia młodego powstańca – ale przypominam sobie swoje wątpliwości z początku niniejszej noty i myślę: a może już właśnie tak trzeba?

Jest scena w środku spektaklu, będąca w moim odbiorze jego puentą mocniejszą od zakończenia. W dyskusjach o wyższości racjonalizmu nad metafizyką pojawia się motyw modlitwy o deszcz: równie nieracjonalnej jak modlitwa o pokój. Bohaterowie zamierają w dziwnym modlitewnym stuporze, a scena podświetla się żółcią i błękitem w układzie ukraińskiej flagi. I zaczyna padać, ale deszczowy soundscape zaraz płynnie zmienia się w dźwięki ostrzału. I tyle. Tu nie ma dodatkowego komentarza. ■

AUTOR: ADAM KAROL DROZDOWSKI